

Anna Nasiłowska

Intelektualiści, esteci i myśl praktyczna

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4 (16), 1-5

1992

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

teksty

D R U G I E

4
1992

Dwumiesięcznik
Instytutu
Badań
Literackich
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

Intelektualiści, esteci i myśl praktyczna

Intelektualiści i esteci wiele mają cech wspólnych, choć nie ma powodu ukrywać, że obecny kształt numeru „Tekstów Drugich” jest wynikiem pewnego zbiegu okoliczności, a nie przemyślanej i zaplanowanej z góry koncepcji. Okoliczności, gdy im jeszcze w tym lekko pomagać, lubią układać się jednak w całkiem nieprzypadkowe i dające do myślenia wzory. Ten właśnie, zetknięcie dwóch obszarów o zastanawiających zbieżnościach, narzucił się w sposób nieodparty. Bo czyż oba określenia nie traktowane były z ironicznym dystansem? „Ach, intelektuelle” — zwykli mawiać pobłażliwie ci, co uważają się za „ludzi czynu”, wymawiając ten wyraz specjalnie nosowo, „tak z francuska”, żeby nie uległo wątpliwości, że mają im do zarzucenia przerafinowanie nie mogące przysłużyć się realizacji celów praktycznych.

„Ach, esteci...” — tu raczej „człowiek praktyczny” wyda z siebie westchnienie, ma bowiem do czynienia z klasą osobników kompletnie oderwanych od normalnych, życiowych hierarchii. Gdybyż mogli dowodzić swojej przydatności tak, jak Han Yu, żyjący na przełomie VIII i IX wieku, który dowiedziawszy się o trapiącej pewną prowincję Chin pladze krokodyli, napisał i odczytał nad brzegiem rzeki skierowany do nich list, w którym zażądał, żeby się wyniosły. Odnósł on skutek prawie natychmiastowy, krokodyle zniknęły bowiem następnego dnia, podczas gdy nie słyszano ani o pozytywnych skutkach ody do słowika, ani nawet o tym, aby apele o pokój sygnowane nazwiskami największych mędrców

powodowały zakończenie wojen czy zmiękczały ludzkie serca w sprawie ratowania zagrożonych gatunków zwierząt i dewastacji środowiska naturalnego. Z jednym, znamionym wyjątkiem: owych apeli i listów, nawet w dość konkretnych i ograniczonych sprawach, bala się niezmiennie władza komunistyczna. Nie pisano do władzy, aby „zniosła się sama”, ale na przykład grzecznie proszono o większy przydział papieru. Jestem przekonana, że już teraz zrozumienie reakcji wściekłości i represji, jakie taka petycja zwykle wywoływała, nastęrczyłoby dużo trudności sporej liczbie młodych ludzi.

Ideologizacja całego życia powodowała zmiany ról społecznych i zaburzenia w sferze wartości. Też dziwne, ale najwięcej wątpliwości — ze wszystkich stron — budziła rola estety. Toteż jeśli twórczość Przybosa znajduje się od wielu już lat „w czyścicu”, podejrzana o czystą ekwilibrystykę słowną bez „głębszego znaczenia”, jest to w dużej mierze wynikiem sytuacji, że od wielu już lat tryumfowała pewna odmiana moralizmu, nakładająca na każdego, kto posługuje się słowem, obowiązki polityczne sprawowane przez ten rodzaj elity „zamiast” nie mogącej się wypowiedzieć większości — w jej imieniu. To rzeczywiście romantyczna rola, pociągająca za sobą także romantyczne mistyfikacje.

Do przenikliwej, ale i budzącej groźbę analizy Zygmunta Baumana (która w prezentowanej przez nas wersji jest jedynie fragmentem obszerniejszego tekstu) dałoby się dopisać osobny rozdział dotyczący sytuacji intelektualisty wschodniego po rozpadzie systemu. Krytyczny stosunek do rzeczywistości był przez wiele ostatnich lat cechą konstytuującą tę szczególną klasę. Stefan Morawski ma zapewne rację uznając wadzenie się z Bogiem za motyw przewodni pisarstwa Leszka Kołakowskiego, ale zaczynając rzecz od innej, może banalniejszej, bo oczywistej strony tym motywem można by uczynić spieranie się z różnymi wersjami świeckiej wizji teleologicznej. W momencie gdy spór ten wygasa, a w każdym razie nabiera jedynie historycznego znaczenia, kończy się też rola (a może nawet więcej: misja) wschodniego intelektualisty, która na ustabilizowanym Zachodzie wywoływała cień zazdrości.

W dzienniku Mircei Eliadego pod datą 16 lutego 1949 znajduje się notatka o zebraniu rumuńskich emigrantów. Eliade zwołał ich by przedyskutować sprawę m i s j i p o l i t y c z n e j, jaką historia nałożyła na intelektualistów: „W wojnie religijnej, w którą zostaliśmy wciągnięci, przeciwnik zwalcza tylko elity, a te dla dobrze zorganizowanej policji nie stanowią trudnego łupu. Dlatego właśnie w naszych czasach uprawianie kultury to

jedyna skuteczna polityka, jaką uprawiać mogą emigranci. Tradycyjny układ został odwrócony: to już nie politycy znajdują się w żywym, konkretnym centrum historii, tylko uczeni, «elity intelektualne» (przel. A. Zagajewski). Otóż i mamy dokładne odwrócenie „kompleksu nieudacznika”. A przy tym zdania te brzmią dziwnie podobnie do wygłaszanych wiele razy w środowisku polskim, nie tylko emigracyjnym.

Z całą pewnością istniało coś takiego, jak wspólny etos intelektualisty wschodniego. Emigracja była jego ważną częścią, stanowiła krystalizację tej postawy oczyszczoną z elementów kompromisu. Te same wartości można jednak z łatwością wskazać w polskim marzeniu o „kulturze niezależnej”, w której emigracja spotkałaby się z krajowym oporem stanowiąc coś w rodzaju niezależnej krainy ducha, alternatywy dla struktur i wartości tworzonych przez państwo. Intelektualista wschodni, niezależnie od tego, czy zajmował się filozofią, historią, literaturą, czy socjologią, jeśli miał świadomość dokonanego wyboru, żył w poczuciu, że wypełnianie owej misji stanowi kompletną odpowiedź na pytanie o sens uprawianego zawodu. Niezależnie bowiem od specjalności owym sensem była negacja zastanego i wskazywanie alternatywy, najczęściej w postaci kultury zachodniej, wyjąwszy takie przypadki, jak Solżenicyn. I to niezależnie od całej świadomości krytycznej wobec współczesnych form kultury masowej, amerykańizacji, nieuchronnej komercjalizacji, społeczeństwa konsumentów itd.

Świadomie podkreślam tu ową „wschodnią” wspólnotę dążeń i wartości, pomijając całą kwestię Europy Środką, wylansowaną być może w celach politycznych, ale skwapliwie podchwyconą ze względów prestiżowych, by nie rzec: snobistycznych. Intelektualistę polskiego, rumuńskiego, rosyjskiego łączyło wiele: przede wszystkim wspólna sytuacja wobec systemu — i niezwykle prerogatywy w świecie ducha. W porównaniu z nimi materialne ubóstwo wydawało się doprawdy rzeczą mało znaczącą, nie wartą wspomnienia. Zachodni intelektualista odnosząc sukces, czyli stając się znany, mógł liczyć na porównywalną sytuację duchowego przywództwa tylko jeśli lansował lewicowość i kusił wizją odwrotną niż jego wschodni odpowiednik.

Sytuację dzisiejszą można określić tylko jako szok. Pospieszne przechodzenie wielu dawnych autorytetów intelektualnych do polityki i zużywanie się w niej, pogłębienie materialnej degradacji profesji związanych z nauką — to tylko objawy procesu całkowitego rozpadu misji. Zostaliśmy wrzuceni w świat trochę podobny do tego, jaki opisuje Bauman. Tylko trochę jednak

— bo są także istotne różnice poziomu edukacji i zamożności społeczeństwa — i co za tym idzie dużo mniejsze zapotrzebowanie na „płatnych ekspertów”. To, że temu procesowi nie towarzyszy właściwie żadna refleksja, jest tylko dowodem, że jest to szok niezwykle głęboki. I że właściwie nie ma języka, którym można by to opisać, zbyt wiele skojarzeń z odrzuconym językiem krytyki marksistowskiej, przy czym same formy rzeczywistości nie są na tyle ustabilizowane by, miast życzliwego wsparcia, obciążać je krytyką. To powoduje, że mimo owego wspaniałego obszaru niezależności, na który złożyły się solidne i rzetelne tomy, cała biblioteka książek, za którymi stoją przecież ich wspaniali autorzy reprezentujący światowy poziom, właściwie wszystkie ważne wybory społeczne obywają się bez refleksji intelektualnej, w atmosferze naładowanej emocjami, bez pełnego i wiarygodnego rozpoznania ich długofalowych konsekwencji i przygotowania. Ów „płatny ekspert” sam musi się bronić przed redukcjonistami i zwolennikami „praktyczności”, a nie może się przy tym pochwalić, że jego artykuły przynoszą skutki podobnie dobroczynne jak „List do krokodyla”. W ogóle nie wiadomo, jak mierzyć płynące z nich pożytki. Błędem byłoby jednak sądzić, że one nie istnieją. Kategorie związków przyczynowo-skutkowych opisują świat w sposób bardzo przybliżony. Niby o tym wiemy, ale w dzisiejszej polskiej sytuacji mniejszym szaleństwem i zuchwałością wydaje się już bronienie tezy o bezpośrednim związku jaki zachodzi między zaklęciami szamana a — powiedzmy — pojawieniem się deszczu niż dowodzenie niezbędności intelektualistów w społeczeństwie cywilizowanym i w związku z tym żądanie zarobków pozwalających na kupowanie książek i czasopism (np. „Tekstów Drugich”). Prosty probabilizm właściwy przedstawicielom dziedzin uznawanych za praktyczne, czyli takie, gdzie skutki działań są wymierne i łatwe do określenia, oraz ekonomistom, którzy niewątpliwie nie czytali paszkwilu Donalda McCloskeya zaprezentowanego przez nasze pismo w zeszłym roku, odcisnął swoje piętno nawet w IBL-owskim korytarzu. Obecny stan ducha można określić jako mieszaninę głębokiej frustracji połączonej z kompleksem winy, że te luksusowe wytwory ducha, których niezbędności nie sposób prosto dowieść — jednak kosztują i to sporo.

Jeszcze kilka lat temu krytyk literacki mógł uważać siebie za kogoś sterującego społeczną świadomością, zajmującego się generalną przebudową wizji świata, dokonującego ważkich wyborów, ideowca i trochę cierpiętnika. Taki mały (albo i całkiem spory) Brzozowski, abstrahując od skaz na biografii, które całe szczęście nie wszyscy noszą. Książki jakoś

zawsze znajdowały czytelników, uczestniczyły w jakiejś uniwersalnej kreacji rzeczywistości ducha. Teraz powinien wiedzieć, że bierze udział w handlu, w sterowaniu procesami komercyjnymi. Jego towar co prawda luksusowy — ale towar. A że rynek jest i skromny, i trudny — powodów do samozadowolenia nie ma.

Jakiś czas temu „Arka” zorganizowała ankietę dotyczącą intelektualistów. Kolejni respondenci, niewątpliwie należący do elity, odpowiadali w niej, że intelektualistami chyba się nie czują, skądże, intelektualista to ktoś, kto czyta Nietzschego jeszcze przed śniadaniem, przy poobiedniej kawie sięga po europejskie dzienniki, a w ogóle dnia spędza na rozważaniach bynajmniej nie o tym, skąd wziąć pieniądze na zapłacenie rachunku za telefon. Nie można stąd jednak wyciągać wniosku, że grupa ta nie istnieje lub właśnie zanika, ale że przywiązana jest jeszcze do swojego wczorajszego statusu. Bycie intelektualistą to rodzaj archaicznego, kulturalnego obrzędu, na który składa się kultywowanie pojęć i zwyczajów, tym różniących się od obrzędu estety, że gdy jeden ma na celu prawdę, drugi poszukuje piękna. Tylko że esteta to zjawisko dużo rzadsze, może rzeczywiście już należące do przeszłości. Może Przyboś był ostatnim z wielkich? Gdy czyta się „Zapiski bez daty” (a jest to jedna z lektur, do których powracam bardzo często) można napotkać rozważania o doskonałości greckiego obrazu różanopalcej jutrzeńki, która wstępuje na niebo, i pytania brzmiące jak z odległej epoki: „Czyżbym wymagał od słowa za wiele, czyżbym zmuszał zdanie do funkcji za trudnych?”... Esteci oczyścili się właśnie z ciężkiej na nich dwuznaczności, odkąd poglądy na sztukę stały się sprawą prywatną i nie podlegają w tym stopniu społecznej presji. Sztuka czysto bezinteresowna jest pojęciem, na którym zalega gruba warstwa kurzu, nie posługiwano się nim bowiem od lat wiedząc dobrze, że nie takim kluczem otwiera się drzwi, przed którymi staliśmy. Nie znaczy to, że nie otwiera on już żadnych innych.

Anna Nasilowska

Redakcja „Tekstów Drugich” przeprasza

W numerze 6/1991 wydrukowaliśmy listy Mirona Białoszewskiego do Marii Janion bez wiedzy i zgody właściciela praw autorskich, Pana Leszka Solińskiego, za co go niniejszym przepraszamy.